

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego Nr. 21 m. 6.

Czynne od g. 12—2 oprócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ:  $\frac{1}{1}$  strona — 40 zł.  
 $\frac{1}{2}$  „ — 20 „  
 $\frac{1}{4}$  „ — 10 „  
 $\frac{1}{8}$  „ — 5 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Pożegnanie.

Zamykam definitywnie „Przegląd Wileński”, założony przezemnie w r. 1912, wychodzący do wybuchu wojny i wznowiony po przyłączeniu Litwy Środkowej do Polski. Złożyło się na to zamknięcie wiele przyczyn. Główne są dwie: moja choroba przed dwoma przeszło laty, której wyniki dotąd nie pozwalają mi na pracę systematyczną oraz ustawiczne konfiskaty pisma od trzech blisko lat, mimo że skonfiskowane numery nie tylko nie różnią się swą treścią od dwutygodnika, wydawanego przez kilkanaście lat na podstawie tej samej ustawy cenzuralnej bez przeszkody, ale nawet pomijają w ostatnich latach szereg kwestyj o charakterze bardziej drażliwym. W tych warunkach wydawanie pisma staje się niemożliwym.

Dziękując więc dotychczasowym współpracownikom i czytelnikom za ich poparcie wydawnictwa, wyrażam nadzieję, że idea, której „Przegląd Wileński” służył wiernie dwadzieścia lat, znajdzie szermierzy, bardziej odemnie uzdolnionych i przystosowanych do nowych warunków.

*Ludwik Abramowicz*

## Konfiskaty.

Trudno mi pisać feljeton w dzisiejszym numerze „Przeglądu”, kiedy założyciel pisma i wieloletni jego redaktor chowa swe pióro, nie chcąc czy nie mogąc dłużej utrzymać jego w dłoni.

Trudno uśmiechać się do czytelnika, gdy pieśń, przez tyle czasy dzwoniąca umiłowaniem tego kraju,

jego oblicza i historii, tej z pod znaku Pogoni,—ma dziś zamilknąć... Gdy stała się teraz pieśnią zakazaną, jak niegdyś „Z dymem pożarów”...

Przyszli jacyś nowi, nieznani ludzie, którym nie przemawia do serca śpiew ostatniego Wajdeloty. Owszem, drażni ich, bo to nuta już niemodna a słowa niezrozumiałe. Dla nich—oczywiście, niezrozumiałe. Zakazać! Skonfiskować!..

Te same usta, które krzyczą ze słusznym zresztą oburzeniem, że „Czesi gnębią Polaków za Olzą... Hańba im!”—te same usta drgają w przemiłym uśmiechu na wieść, że nareszcie zamknięto tyle to i tyle szkół litewskich i białoruskich, skasowano takie to i takie towarzystwa, koła czy komitety.

„Przegląd” nie umiał uznawać podwójnej moralności. To, co było złe nad Olzą lub nad Odrą, nie przestaje być złem—nad Wilją i nad Niemnem. Szerokość geograficzna nie zmienia tutaj istoty rzeczy. Cała różnica polega na tem, że tam, to—nas, a tu, to—my... Jak nas, to złe, jak my, to—dobrze. Klimat ideologiczny—iście afrykański. Sympatyczne ludy Buszmenów i Zulusów, patrząc na środkową Europę, nie powinny się wstydzić swojej moralności. Jest ona wszak moralnością panującą, uznaną i jedynie dopuszczalną w centrum Europy.

Wiedział o tem „Przegląd Wileński”, ale wiedział także i to, że wszelki ucisk narodowościowy wywołuje reakcję—odwrotną do zamierzenia. Zamiast niszczyć prądy nacjonalistyczne, wytwarza ich wzrost w kierunku szowinizmu. Powstają fermenty, przerażające płynne niezadowolenie w uderzające do głowy wino. Nieuciskana narodowość rozwija się w sposób naturalny, jak ją na to stać. Ucisk—drożdże dla nacjonalizmu—powoduje sztuczny ferment, kończący się zazwyczaj wybuchami nienawiści, kataklizmami i nieuniknionym przelewem krwi.

Wiedział i czuł także „Przegląd”, że kraj tutejszy o fizjonomji odrębnej, narodowościowo mieszany,

lecz zespolony więzią wspólnych dziejów, tradycji i uczuć — wymaga indywidualnych metod rządzenia, innych niż te, które stosuje się np. na jednolitem Mazowszu lub na Kujawach. Wymaga on specjalnego podejścia do stosunków etnicznych i obyczajowo-kulturalnych, aby nie wywoływać ropienia ran niebacznie zadawanych. Niedosć doprowadzać kraj do zewnętrznej, pokazowej jednolitości, mającej może wzrok, a ukrywającej narastające w głębi niezadowolenie, niewidzialne dla urzędowego oka, lecz gotujące się przejść niepostrzeżenie w otwartą nienawiść, która obejmie nietylko krótkowzrocznych urzędników, bo o to mniejsza—przyszli i poszli—ale i całość państwa, do którego kraj mieszany należy.

„Przeгляд” rozumiał, że dziś, w epoce rozbudzonego w całej Europie szalejącego nacjonalizmu, nie da się ukryć pod korcem narodów, zamieszkujących ziemie b. Wielkiego Księstwa Litewskiego, że narody te muszą uświadomić sobie swoje oblicze odrębne i że Polska winna wychowywać sobie w nich — nie wrogów jutrzejszych, lecz zgodnych obywateli wspólnego państwa, a to ostatnie da się dokonać jedynie wówczas, gdy narody te będą się czuły w Polsce całkiem dobrze. Tej prostej prawdy nie rozumiała Czechosłowacja i teraz musi za to płacić.

Rozchodzi się o bagatelę — o system rządzenia, który „Przeгляд” uważał za niewłaściwy i za wręcz szkodliwy dla interesów tak kraju, jak i państwa. Dzieje ostatnich lat „Przeгляду Wileńskiego” to historia walki ideologii pisma z mentalnością urzędniczą. Pojedynek między intelektem i mechanizmem, uczuciem i szablonem, zegarkiem i młotkiem. Z jednej strony—publicysta, zahartowany ongiś w walce z car-

ską Rosją o wolność tego kraju, dobry jego znawca, odnoszący się z sentymentem do historycznego spadku po ojcach i dziadach, zapatrzony w jutro swej ściślejszej ojczyzny i marzący o jej szczęściu, z drugiej—napływowa fala obcych duchowi tego kraju urzędników, mających do rozporządzenia siłę egzekutywy swoich postanowień. Sic volo, sic jubeo. Zakazać. Skonfiskować...

Kto się okaże dalej widzącym w tym sporze, odpowie prędzej czy później historia, która zresztą już nieraz odpowiadała na podobne pytania. Dlaczego to np. Francja, mając po swych bokach całe prowincje — Bretonję i kraj Basków — obce Francuzowi językowo, obyczajowo i nawet plemiennie, nie zna wcale ropiejącej kwestji narodowościowej?... Odpowiedź aż nadto prosta. Bo Francja nigdy nie usiłowała narzucać tym obywatelom swego języka ani obyczajów. Niech sobie żyją po swojemu, jak Bóg przykazał, co to komu przeszkadza? Państwo powinno tylko zapewniać im należyte warunki współżycia i rozwoju. Stąd każdy Bretończyk czy Baskijczyk, nie przestając narodowościowo być sobą, umie być państwowo Francuzem i nawet patriotą francuskim. Niech by jednak posłać tam tutejszych administratorów na kierownicze stanowiska, z pewnością spokojni i lojalni Bretończyki i Baskowie rychło poczęliby się oglądać za separatyzmem i marzyć o irredencie.

„Przeгляд Wileński” usiłował na swych szpaltach wyjaśniać i uzasadniać „miarodajnym czynnikiem” i ogółowi czytelników swoje stanowisko lecz, czynniki miarodajne tak sobie widać wysoko ceniły wskazania pisma, że najzazdrośniej ukrywały je przed pozostałymi czytelnikami, zabierając prawie wszystkie nakłady na własny wyłącznie użytek, pod swój klucz

## SPRAWA LITEWSKA W PAMIĘTNIKACH BOGDANA HUTTEN CZAPSKIEGO.

Dwutomowa praca zmarłego przed rokiem Bogdana Hutten Czapskiego pt. „60 lat życia politycznego i towarzyskiego” stanowić będzie zawsze pozycję o nieprzemijającej wartości w dziejach pamiętnikarstwa polskiego.

Tom I. zawiera m. i. wspomnienia dotyczące kilkakrotnego pobytu autora wraz z kanclerzem niemieckim księciem Hohenlohe w należących wówczas do tegoż, a ulubionych podwileńskich Werkach, gdzie nawet wypoczywając i polując utrzymywali stały kontakt z urzędem kanclerskim w Berlinie i opracowywali czasem nowe niektóre praw. Jednak bardziej dla nas jest ciekawy tom II, obejmujący czasokres wojny światowej.

W miarę posuwania się wojsk niemieckich na wschód, wylania się z Naczelnego Dowództwa na Wschodzie (*Oberkommando-Ost* lub *Ober-Ost*) obok administracji cywilnej *General-Gouvernement Warschau*, które jak rychło dowiemy się niżej, było wielokrotnie zmuszone *via facti* zajmować się sprawą litewską. Przekonaniowo obcy a niechętny endecji, Czapski bezwiednie wygłaszał nieraz poglądy wszech-

polskie. Pisał wszak: „Wszyscy Polacy żądają zjednoczenia z przyszłą Polską byłych ziem litewskich dawnej Rzeczypospolitej, a zwłaszcza Wilna, miasta w przeważającym stopniu polskiego”. Nuta powyższa brzmieć będzie w całej politycznej działalności hrabiego, zwolennika odbudowy możliwie największej Polski.

Imperjalizm Polski, który rościł sobie wówczas pretensje do całości ziem litewskich i spierał się z przeciwnikami tej koncepcji, był wtedy jeszcze przysłowiowym sporem o skórę niedźwiedzia w lesie. Jak w początku źle orjentowało się w tych sprawach nawet biuro prasowe w niemieckim Urz. Spr. Zagr. świadczy, że szef jego Hammann tout court wyrażał się „litewskie Suwałki,” wyprowadzając widać z niewątpliwie litewskiej jego nazwy zgoła mylny wniosek o obecnej jego ludności.

Jednym z pierwszych, którzy w Niemczech wystąpili z stanowczym żądaniem podporządkowania (aneksji) Litwy Niemcom był prof. Max Sering. Żądał on tego „pod warunkiem przymusowego wydalenia polskich wielkich właścicieli ziemskich”. Jeśli chodzi o gen. gub. Beselera w Warszawie, to „w grudniu 1915 oraz w styczniu i w lutym 1916” sporządził on memorjały, z których treścią Czapski częściowo się nie zgadzał, gdyż autor przemawiał w nich za tem,

Doszło do tego, iż w ostatnich paru latach pismo miało jedynych skwapliwych czytelników w osobach cenzorów. Cóż z tego, że sądy zazwyczaj po kilku miesiącach uchylały konfiskaty, kiedy pismo, mimo to, nie docierało do prenumeratorów. W ostatnich latach system ten stał się regułą.

Ten kurs polityczny w Wileńszczyźnie, do którego opozycyjnie odnosił się „Przeгляд”, nie był znany tutaj za życia Marszałka Piłsudskiego, lecz powstał w pewnym czasie po Jego zgonie. I wówczas dopiero rozpoczęły się systematyczne konfiskaty „Przeгляdu Wileńskiego”, aczkolwiek ideologia pisma nie uległa żadnej zmianie. Ten „nowy kurs” należy przypuszczalnie tłumaczyć oryginalną wykładnią testamentu ś. p. Marszałka. Trudno tylko zrozumieć, dlaczego za życia Marszałka podobny kurs nie był dopuszczalny, no i „Przeгляд Wileński” mógł swobodnie wychodzić

Bolesław Szyszkowski

## Nakaz chwili.

Różne są drogi, któremi chadza rząd, a społeczeństwo. Szczególniej dotyczy to sprawy białoruskiej. Widzimy tu kontrasty wprost rażące.

W roku 1922 weszli Białorusini po raz pierwszy do polskich izb ustawodawczych. Weszli w ilości dość pokaznej: 12 posłów na Sejm i 3 senatorów. Zdawałoby się, iż powstał w ten sposób grunt, na którym ludność białoruska zdoła dojść do jakiegoś porozumienia—zarówno z rządem, jak i społeczeństwem polskim—w sprawie podstaw współżycia narodów białoruskiego i polskiego we wspólnym państwie.

Do porozumienia nie doszło. Aczkolwiek wybrańcy ludu białoruskiego zajęli niedwuznacznie stanowisko państwowe, biorąc czynny udział w wyborze

by protegowanej przez Erzbergera i Ludendorffa Litwie przyznać kosztem przyszłej Polski północną część gubernji Suwalskiej, wzamian za co był gotów przyznać Polsce okręg białostocki (reminiscencja z przed stu laty), a później i Grodno.

Pogląd swój na bieg spraw w Litwie czasu okupacji wyraził Czapski w dłuższem piśmie do kanclerza Bethmanna Hollwega. Chwaląc rozwój stosunków w Królestwie Polskiem, pisał:

„Niestety, nie dzieje się tak na Litwie.

„Gdy się nie można popisać świetną działalnością wojskową, powstaje, jako naturalny skutek chęci rządzenia i administrowania w jaknajszerszym zakresie. Aby móc to czynić w ramach sposobu praktycznego i uwzględniającego wielkie interesy polityki niemieckiej, nieodzowna jest z jednej strony dostateczna technika administracyjna, a z drugiej—znajomość stosunków wolna od uprzedzeń. Wydaje mi się, że brak obu tych przesłanek.

„Największy wpływ na administrację Litwy mają: landrat von Brockhausen, Yorck i książę Isenburg. Brockhusen podobno nigdy niczego w życiu nie dokonał i nagle zmuszony jest, jak Kardynał Nipote, podejmować ważne decyzje w najrozmaitszych i najbardziej obcych dla siebie dziedzinach. Yorck jest niewątpliwie człowiekiem niezwykle wszechstronnym

prezydenta Rzeczypospolitej, aczkolwiek dali niewątpliwy dowód swego zaufania do demokracji polskiej, popierając swemi głosami jej kandydata—Narutowicza,—rząd nie zechciał skorzystać z nadarzającej się sposobności, by ustalić z białoruską reprezentacją parlamentarną jakiś pokojowy, na dłuższą metę obliczony modus vivendi, stosunek zaś demokracji polskiej był bardzo niejednolity. Pomimo deklaratywnego uznania praw narodowych ludności białoruskiej w Polsce, widzieliśmy tak dziwne wystąpienia pewnych odłamów, jak znane oświadczenie posła Niedziałkowskiego, iż PPS będzie mówiła z ludem białoruskim—przez głowy jego posłów.

Stwierdzić jednak należy, iż inne odłamy demokratyczne nie solidaryzowały się z leaderem PPS i szczerze szukały dróg do zbliżenia społeczeństwa polskiego i białoruskiego. W Wilnie grupa demokratów polskich—krajowców zainicjowała stworzenie towarzystwa polsko-białoruskiego. Do zrealizowania go nie dopuściły wszakże władze administracyjne, odmawiając zarejestrowania statutu projektowanego towarzystwa. Działo się to w przededniu powstania do życia Białoruskiej Włościańsko-Robotniczej Hromady.

W parę lat później uczyniono nową próbę nawiązania stałej łączności pomiędzy krajową demokracją polską a białoruską i litewską. Opracowano projekt statutu stowarzyszenia o symbolicznej nazwie: „Pod znakiem Pogoni”. Pomimo szczerzej chęci współpracy wszystkich trzech społeczeństw w ramach stowarzyszenia, do zorganizowania takowego znowu nie doszło i—podobno—znowu z powodu zasadniczo negatywnego stanowiska władz administracyjnych...

Mijał rok za rokiem. W sferach rządowych coraz wyraźniej zaznaczało się w stosunku do Białorusinów stanowisko zupełnej negacji ich prawa do rozwoju kultury narodowej i instytucyj społecznych. Szkolnictwo białoruskie, stworzone własnym wysiłkiem społeczeństwa białoruskiego i liczące ongi setki szkół powszechnych oraz kilka gimnazjów—białoruskich, było systematycznie przez władze administracyjne

i wykształconym, Isenburg zaś jest—energiczny, jak również inteligentny. Obaj jednakże żyją w świecie, który sami sobie stworzyli według swych życzeń i marzeń, i wydają śmiało zarządzenia nie licząc się zupełnie z rzeczywistością. Podobno tajny radca Altmann także współrządzi gorliwie. Nie znam go na tyle, by wiedzieć dokąd zmierza, i nie mogę też zdać sobie sprawy, jaki wpływ wywiera.

„Dowiadując się jednak o urządzeniach i zarządzeniach kościelno-politycznych w tym kraju, trzeba się zdumiewać nad zupełną niezajomością powszechnych urzędzeń Kościoła katolickiego i nad małostkowością punktów widzenia. Do głównych życzeń Administracji „Ober-Ost'u” należy oddzielenie diecezji sejneńskiej od warszawskiej prowincji kościelnej. Nie mówiąc już o tem, że uzyskanie bulli cyrkumskrypcyjnej w czasie wojny jest chyba niemożliwe i że taki rozdział nie miałby bodaj praktycznego znaczenia, należałoby go uważać za niebezpieczny z tego powodu, że dawałby wgląd w nasze zamiary co do rozgraniczenia, t. j.—co do przyszłych granic państwowych.

„Wkraczających do Wilna Niemców powitano radośnie jako wybawców i nastrój ten wywarł nawet bardzo korzystny wpływ na tutejszą opinię publiczną. Od tego czasu zdarzyło się jednak wiele rzeczy, któ-

likwidowane i składa się dziś z kilkudziesięciu pow-  
szecznych szkół państwowych, gdzie jeszcze w pew-  
nej mierze uwzględniany jest język białoruski, oraz  
jednego gimnazjum państwowego nowego typu (4-klas-  
owego)—filii białoruskiej państwowego gimnazjum  
im. Adama Mickiewicza w Wilnie.

W latach 1936-37 pozamykane zostały niemal  
wszystkie białoruskie towarzystwa kulturalno-oświa-  
towe o charakterze narodowym: T-wo Szkoły Białor-  
uskiej (T.B.Sz.) z licznymi kołami lokalnymi, Białor-  
uski Instytut Gospodarki i Kultury (B. J. G. i K.)  
„Zwiaz”, T-wo Oświaty Białoruskiej, Białoruski Zwią-  
zek Nauczycieli... Takież los spotkał reprezentację na-  
rodową Białorusinów w Polsce: Białoruski Komitet  
Narodowy w Wilnie.

Dostęp do izb ustawodawczych w związku z re-  
formą ordynacji wyborczej został dla Białorusinów  
całkowicie zamknięty, i reprezentacji białoruskiej  
w parlamencie polskim dziś już niema. Samorząd dla  
Białorusinów tak dobrze jak nie istnieje. Prasę pe-  
riodyczną niemal całkowicie zlikwidowano; istniejące  
jeszcze miesięczniki i kwartalniki ulegają bardzo czę-  
stym konfiskatom. W praktyce administracyjnej istnie-  
nie mniejszości białoruskiej w Polsce jest w najlep-  
szym razie ignorowane. Częściej jednak przejawy ak-  
tywności narodowej w klasach podlegają represjom  
administracyjnym. Nawet kooperacja białoruska w tych  
warunkach rozwijać się nie może.

Wyniki tej polityki rządowej zaznaczają się nader  
wrażnie. Są fatalne! Wieś białoruska, pozbawiona  
własnych ośrodków pracy kulturalno-oświatowej oraz  
szkoly w języku macierzystym, dziczeje z roku na  
rok, a jednocześnie notowany jest stały wzrost anal-  
fabetyzmu powtórnego. Jednocześnie—z powodu zna-  
cznego przyrostu naturalnego ludności wiejskiej i unie-  
możliwienia jej nabywania ziemi drogą parcelacji—  
przy braku możliwości emigrowania do miast lub za-  
granicę—czyni zastraszające postępy pauperyzacja  
wsi białoruskiej. A na tem tle rodzi się w masach  
białoruskich poczucie krzywdy—narodowej i społecz-  
nej, rodzą się uczucia wrogie do wszystkiego, co,

polskie, rozkwita nieznany doniedawna żywołowy  
nacionalizm białoruski.

Uważniejsi badacze stosunków, istniejących na  
terenach białoruskich, od pewnego czasu sygnalizują  
te nowe zjawiska. Na panujące tu nienormalne sto-  
sunki wskazywali z trybuny parlamentarnej posłowie  
i senatorowie—Polacy: Pełczyńska, gen. Żeligowski,  
Beczkowicz... Na terenie wileńskim ożywione dyskusje  
na tematy białoruskie odbywały się ostatnio w pol-  
skich klubach politycznych — „Włóczęgów”, w Klubie  
Demokratycznym... Ostatni wystosował do rządu ob-  
szerny memoriał, żądający rewizji polityki państwowej  
w stosunku do Białorusinów. Konferowała z reprezen-  
tantami społeczeństwa białoruskiego oraz litewskiego  
wycieczka posłów i senatorów, która w maju r. b. od-  
wiedziła Wilno.

Białorusini z całą szczerością i może nie zawsze  
bezpieczną dla nich otwartością informowali społec-  
zeństwo miejscowe oraz parlamentarjuszy o wytwo-  
rzonej na terenach białoruskich—dzięki polityce władz  
—sytuacji, która wobec bliskości granicy sowieckiej,  
zawsze rozżarzonej, może się stać w skutkach swoich  
groźną dla bezpieczeństwa państwa. A wślad za refer-  
atami i dyskusjami samo życie potwierdziło słuszność  
tych ostrzeżeń: przypomnimy tylko wypadki w Dru-  
i oraz niemal jednoczesne wznowienie dawno zapom-  
nianych oddziałów partyzanckich na Polesiu..

Rząd, jak dotąd, zdaje się być głuchym na ostrze-  
żenia zarówno ze strony białoruskiej, jak polskiej.  
Od wiosny, kiedy to ujawniło się pierwsze zaniepo-  
kojenie wśród demokratycznej części społeczeństwa  
polskiego, nie widzieliśmy żadnych oznak zaintereso-  
wania się sprawą białoruską przez sfery rządzące.  
Prasa zmuszona jest w dalszym ciągu do milczenia.  
I mimowoli nasuwają się smutne i na pierwszy rzut  
oka dziwne refleksje: wydaje się, że kierownicy pol-  
skiej nawy państwowej z zupełną świadomością skut-  
ków realizują jakąś nieznaną szerszemu społeczeństwu  
koncepcję polityczną w stosunku do ludności białor-  
uskiej, wierząc oczywiście w jej słuszność i potrzebę.  
Bo głosy ostrzegawcze, bo fakty tak wiele mówiące,

re wywołały zmianę, a więc: zakaz sprowadzania pol-  
skich gazet, postanowienie, że do urzędowej kores-  
pondencji duchowieństwa dołączać należy niemieckie  
tłumaczenia, ogłaszanie urzędowych rozporządzeń  
i okólników wyłącznie w języku niemieckim, zakaz  
korespondencji pomiędzy ludnością miejscową a wojs-  
kowymi, wyzyskiwanie zasobów krajowych, rekwi-  
zycje bez pokwitowania, samowola i nadużycia ze  
strony komendantów etapów, niedostateczna dbałość  
o uprawę ziemi.

„Wszystkie te zarządzenia, uciskające codzien-  
nie każdego poszczególnego mieszkańca kraju, wywo-  
łują powoli przypuszczenie, że ci, co rządzą, mają  
zamiar wygryźć klasy kierownicze i osiedlić później  
w całym kraju niemieckich żołnierzy. Plany wszech-  
niemieckie, szerzone przez dozwolone niemieckie ga-  
zety, jak np. *Tägliche Rundschau*, podtrzymują te  
obawy. Zwłaszcza słyhać skargi na kilku burmistrzów  
niemieckich, którzy w kraju zarządzali małymi gmi-  
nami, a teraz na czele wielkich zbiorowisk, czują się  
jak paszowie i uprawiają politykę „silnej ręki”.

„Polska i Litwa od wieków ściśle związane są  
z sobą, od stu lat tak ciężko cierpiały wskutek swej  
rozłąki politycznej, że według mego mocnego prze-  
konania byłoby pożądane połączyć z powrotem te  
kraje w jednym państwie. Na wypadek, gdyby konie-

czności wojskowe lub nakazy polityczne miały nas,  
zmusić do oddania ziem litewskich na wschód od linii  
Niemna, musimy bezwarunkowo wywołać na Litwie  
ruch wszechpolski, aby w części kraju, jaka miałaby  
być z konieczności oddana Rosji, stworzyć polską  
irredentę, która zaabsorbowałaby całkowicie kierow-  
nictwo państwa polskiego i odwracałoby uwagę od  
Poznańskiego. Dlatego uważam za pilnie potrzebne  
popieranie idei wszechpolskich na całym obszarze na  
wschód od Niemna, oraz spowodowanie możliwie oży-  
wionych stosunków między wybitnymi Polakami z Wil-  
na i Warszawy.

„Z Kowna zwalczają je jednak wszelkimi roz-  
porządkalnymi środkami. Ruch wszechlitewski nie  
przedstawia dla nas korzyści nigdzie i pod żadnym  
względem; popieranie go—jak to się dzieje powsze-  
chnie—uraza Polaków, a nam bynajmniej nie pomaga.  
Nawet w tych okolicach, gdzie ze zrozumiących przy-  
czyn nie powinniśmy popierać ruchu wszechpolskie-  
go, wskazane jest starać się zwalczać go w sposób  
jak najłagodniejszy i starać o zjednanie sobie Litwi-  
nów, nie popierając ich ewentualnych daleko idących  
życzeń. Według dochodzących mnie wiadomości, na  
całym obszarze „Ober-Ost” wyróżnia się jednak Lit-  
winów kosztem Polaków. Litwinów traktuje się jako  
właściwych i prawowitych panów kraju...

jak Druja i zdarzenia na Polesiu, nie zdołały wpłynąć w najmniejszej mierze na zmianę stanowiska dotychczasowego rządu.

Na społeczeństwie polskim leży przeto obowiązek nie ograniczać się do ostrzegania rządu. Należałoby rozwinąć szeroką akcję społeczną, któraby przekonała przedewszystkiem ogół polski o powadze sytuacji na ewentualnych terenach przyszłych działań wojennych, a również i Białorusinom pokazałaby, że stanowisko społeczeństwa polskiego w sprawie białoruskiej nie pokrywa się z dotychczasowym stanowiskiem sfer rządzących.

H. B.

## Pokłosie nagonki na Marjanów w Druj.

Gdy wartkie tempo życia współczesnego przysłusza już trwającą całą wiosnę i lato oszczerczą nagonkę na marjanów w Druj za ich odwagę przyznawania się publicznie do białoruskości, wskazaniem jest zrobienie pewnego obrachunku z tego wszystkiego, czegośmy byli świadkami przez miesiące ubiegłe w stosunku różnych czynników do klasztoru marjańskiego nad Dźwiną.

*Stosunek władzy duchownej do wypadków w Druj.* Sprawa marjanów w Druj, oprócz innych, poprzednich i późniejszych potwierdziła jeszcze raz, jak niedostatecznie orientuje się osobiście pełen intencji najlepszych obecny Nuncjusz Apostolski. Trudno zresztą czego innego odeń oczekiwać. Poprzedni nuncjusz kard. Marmagi odbył bodaj całą swą służbę dyplomatyczną w Europie, a bezpośrednio poprzedzające jego urzędowanie w Warszawie lata spędził na takich placówkach, jak Praga i Białogród, gdzie, jak wiadomo, istniały i istnieją czekające oddawna należytego rozwiązania kwestje narodowościowe (wyznaniowe, obywatelskie, językowe). Stan dyplomatyczny jego na-

stępcy, spędzony wyłącznie na terenie Ameryki Południowej i przygotowywaniu się do objęcia nuncjatury w Madrycie, są to egzotyzy, z którymi nie dopatrzysz się u nas jakiegokolwiek, nawet najwymyślniejszej analogii. Jeśli chodzi znowu o stosunek ordynarjatu arcybiskupiego w Wilnie do marjanów w Druj, to dla wszystkich parafjan drujskich, tak lub inaczej do klasztoru usposobionych, stało się jaśniejszym nad słońce, że nie był on życzliwy. A jeśli tak było u góry, to cóż mówić już o kanclerzu, sekretarzach Akcji Katolickiej, dziekanach miorskich?!

*Akcja kan. Borodzicza.* Od szeregu już lat wentymski kanonik honorowy Józef Borodzicz co rok b. wczesną wiosną opuszcza swój pałac w San Remo i podąża co prędzej w swej luksusowej limuzynie „z ziemi włoskiej do Polski”. Przybywszy tu, nie szuka ciepłych Zaleszczyk, lecz ofiarnie zmierza właśnie do najbardziej wysuniętego na północ zakątka kraju naszego, gdzie jeszcze leży po lasach niemało śniegu. W tych warunkach niewdzięcznych dla zdrowia, na drogach okropnych dla opon swojej maszyny, wśród napół dzikich ludzi mniejszościowych, gotowych targnąć się, jak to miało miejsce przed laty kilku na odpustowym obiedzie w dniu św. Antoniego w drujskim klasztorze marjanów, na drogocenne jego życie, spędza ten współczesny misjonarz endecji i latynizmu długie miesiące do późnej jesieni, gdy wreszcie z ostatniem ptactwem ciągnie właśnie do ziemi „gdzie kwitną cytryny”.

Lato r. 1938 należeć będzie niewątpliwie do najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek przeżył kan. Borodzicz, który tyle już widział, był nieraz „pod wozem i na wozie”, pod suspenzą i znowu w faworach... Przeżył bowiem on tego lata w Druj w połowie czerwca chwilę, na którą skwapliwie czekał oddawna, a która powetowała mu setnie mozoły, prace i niewygody apostołsko-misjonarskiego życia po siedemdziesiątce. Był więc moment, gdy po wysiedleniu marjanów z Druj, zawołał uszczęśliwiony do ludu miejscowego: *Zwyciężyłem Moskali!* Że rychło potem przeżył też troszec-

„Nie uważam także za wskazane rozpuszczać Białorusinów, gdyż słabo rozwinięte to plemię jest i zawsze pozostanie dostępne dla wpływów rosyjskich...

„Bardzo trudno jest poprawić stan rzeczy na Litwie, gdyż stosunki wojskowe nie pozwalają zupełnie na utworzenie tam całkowicie samodzielnego Generał-Gubernatorstwa i na usunięcie administracji etapowej, nie powstającej w żadnej łączności z krajem”.

List powyższy Czapski pokazał w bruljonie Beselerowi, „raz dlatego, aby nie czynić ważnych propozycji poza jego plecami, a następnie, żeby utrwalić na piśmie, iż poglądy generał-gubernatorstwa zgodne są z mojemu”. Beseler zaopatrzył bruljon pisma w następującą własnoręczną notatkę:

„Po zapoznaniu się, zwracam z najuprzejmiejsem podziękowaniem. Nie mam zastrzeżeń przeciwko przedstawieniu pisma Panu Kanclerzowi Rzeszy. Sprawa polska traktowana jest najzupełniej w moim duchu; o litewskiej — trudno mi wyrażać swoje zdanie, ale przedstawiony pogląd trafia mi do przekonania”.

W rozmowie odbytej 13.VI tegoż roku z ces. Wilhelmem II Czapski wysunął, jako postulat Polski, „zjednoczenie (*Vereinigung*) z Litwą”.

Myśl tę rozwijał tak: „Nie oddawać Wilna Rosji, a natomiast bezwarunkowo złączyć z Polską — Wileńszczyznę, Brześć Litewski i niezdobytą jeszcze Miń-

szczyznę; gubernję Suwalską, a głównie Kowno złączyć z Prusami”. Tu przypomina Czapski Zagłobę i przysłowiowe już Holendry...

W ciągu dalszym nieustannych pertraktacji, jak pisze Czapski w liście przeznaczonym dla cesarza, „na żądanie Niemiec, zgodziła się Austria na odłączenie gubernji suwalskiej od nowego królestwa (Polskiego). Niemcy ze swej strony, na wniosek Austrii, godziły się na rozszerzenie tego państwa na wschód, szczególnie na ziemię z ludnością przeważnie polską. Brano tu przedewszystkiem pod uwagę Wilno”. „Bardzo ważne jest ustalenie obszaru tego nowego państwa. Odłączenie poważnej części dotychczasowej Kongresówki i wcielenie jej do innego państwa, zmniejszyłoby znacznie sympatje dla nas. Nie mam naturalnie na myśli gubernji Suwalskiej, którą musimy zatrzymać dla Prus, zwłaszcza, że wcale nie jest polska. Może udałoby się osiągnąć, aby Austria, która przed półtora rokiem pogodziła się z oddaniem Galicji Rosjanom, odstąpiła tę prowincję nowemu państwu. W każdym razie uważałbym za ważne pod względem politycznym, aby okręg wileński zjednoczono (*vereinigt*) z Warszawą, gdyż Polskę bez ziem litewskich o języku polskim uważaliby Polacy za twór niezupełny i traktowałiby to jako nowy rozbiór Polski”.

W odpowiedzi na to pisano doń półurzędownie

kę emocji w obawie o swe kości i szyby lustrzane auta, a to wobec dość stromego w tem miejscu brzegu Dźwiny, nie zamąci chyba radości tego gracza i ryzykanta, w życiu i na ruletce... W rzeczy samej kogo i czego ma się dziś obawiać ten milioner, kapitalista, właściciel pałaców i willi, przyjaźniący się z kanclerzem arcybiskupim, sekretarzami Akcji Katolickiej, a cieszący się faworami wojewody, starostów i policji?!...

*Akcja ks. prałata Lubiańca.* Ten niefortunny konkurent u nas wielkodusznej Piusowej akcji unijnej, a przebiegły wróg Litwinów i Białorusinów oraz obrzwsch., też nie mało się przyczynił do wysiedlenia marjanów z Druī przez rzućane oddawna na ich klasztor potwarze. Jakże bowiem inaczej mamy nazwać to, że były inspektor seminarjum duchownego w Wilnie z lekkim sercem „nazywał robotę marjanów (NB. przeważnie swych byłych wychowanków i uczniów!) komunistyczną!” (por. Zeznanie ks. Borodiczca 16.VI.1929 w Druī).

*Stanowisko kleru polskiego.* Niemaló osób wśród patriotycznego kleru polskiego (nie mówię, oczywiście, o endecji duchownej) głośno nie solidaryzowało się, owszem potępiało powyższą nagonkę na marjanów Białorusinów. Godne jest wszelkiej pochwały stanowisko marjanów Polaków, w tej liczbie o.o. prowincjała Mrocza z Bielana pod Warszawą i Łysika superiora z Druī. Nikt z nich w chwili krytycznej nie uległ tak łatwej pokusie kaptowania możnych tego świata służalczem zginaniem karku i odżegnywaniem się od wszelkiej łączności z wysiedlonymi. Tacy ludzie są żywą zapowiedzią, że kiedyś między narodami lepsze zapanują stosunki, oparte już na wzajemnym zaufaniu i szacunku. Nawet poważni księża endecy, jak kan. Kulesza i in. zachowali się nietylko taktownie, lecz z dużą dozą życzliwości. Cieszyli się i cieszą tylko ludzie i księża, jak kan. Borodicz i dobrze znany m. r. s. z Akcji Katolickiej w Wilnie.

*Stanowisko prasy polskiej.* W tem miejscu chcemy tylko zaznaczyć wyjątkowo, a szczerze życzliwe względem marjanów w Druī stanowisko „Kurjera Wileńskiego” i poprawne a rzeczowe ustosunkowanie się

do nich wileńskiego „Słowa”. Natomiast nieoficjalny organ Kurji Metropolitalnej w Wilnie — „Głos Narodowy”, piórem byłego Rosjanina i ex-prawosławnego Stefana Łochtina, próbował ze zwykłą perfidją endeczką przedstawić marjanów drujskich jako niebezpiecznych wywrotowców!... Na szpaltach demokratycznego „Kurjera Powszechnego” nie znaleźliśmy żadnych bodaj enuncjacyj w tej sprawie. Stręczycielski „I. K. C.” zasilany w Wilnie stale przez Fr. Hryniewicza i m. r. s. z naszej Akcji Katolickiej, pozwany został za oszczerstwa przez władze prowincji polskiej marjanów do sądu.

Przyjemną niespodziankę sprawiło nam zgoda nieoczekiwane wystąpienie w obronie skrzywdzonych zakonników drujskich sędziwego generała Żeligowskiego, który nie żałował fatygi przybyć osobiście do Druī dla zbadania stanu rzeczy, a potem do Warszawy dla poruszenia jej na właściwym forum w najwyższych instancjach państwowych.

Notujemy to wszystko po kronikarsku, bo nie mamy żadnych złudzeń na rychłą zmianę kursu. Lecz historia nie kończy się z dniem dzisiejszym. Zasada nacjonalizmu jest to kij, mający dwa końce.

Jakież wniosek z powyższego w odniesieniu do Druī? Nie inny, jak ten, że wystąpienie władz administracyjnych tego lata przeciw marjanom, tak w Druī, jak i w Wilnie, *przygotowały i ułatwiły* pewne czynniki kościelne, rzucające cały swój autorytet i wszystkie rozporządzalne środki działania na rzecz wynarodowienia Białorusinów. I dzieje się to akurat wtedy, gdy samym księżom Polakom pali się u nas ziemia pod nogami... Więc ani wojewoda ani starosta brasławski, ani naczelnik wydziału bezpieczeństwa, ten lub inny, nie są właściwie winni wysiedlenia marjanów Białorusinów z Druī i Wilna... Józef biblijny został sprzedany przez własnych braci...

Komu powyższe się nie podoba, niech przypomni sobie rezolutne zdanie Biedaczyny z Assyżu: *Jeśli prawda jest skandalem, to—róbmy skandal.*

— P. Kantryba.

z Berlina: „Jak to dobrze dla nas, że jesteś w Warszawie. Cesarz podkreślał to już tak często, a zdaje się, że Beseler potwierdził mu to na nowo. Działalność Twoja tam jest nieocenionej wartości na później. Poglądy Twoje zgodne są też zupełnie z tutejszemi”.

Niezadługo potem Czapski znowu podsuwa czynnikom miarodajnym w Berlinie rozwiązanie sprawy litewskiej, pisząc: „Przyłączenie możliwie wielkich obszarów Litwy do General-Gubernatorstwa, a mianowicie Białegostoku i, o ile to możliwe, Wilna, gdyż zerwanie od 120 lat związku państwowego między Polską a Litwą jest największą troską Polaków. Kombinacja ta ma tę wielką zaletę, że gdybyśmy mieli być zmuszeni do oddania Litwy, stworzy się tam irredentę polską, która może się nam tylko przydać”. Było to już bezpośrednio przed aktem 5 listopada 1916 r., który tak wzburzył umysły hakatystyczne i wywołał niezadowolenie w siedzibie niemieckiej administracji na Litwie—Kownie.

Powstała z Kolei Tymczasowa Rada Stanu żądała też rozszerzenia państwa polskiego na Wschód, mając w pierwszym rzędzie na myśli, oczywiście Wilno i te części Litwy, w których konieczności wojskowe nie staną temu na przeszkodzie. Sam Czapski tak oceniał wytworzoną sytuację: „W ogólności mogą być zadowolony z obecnego rozwoju rzeczy. Największą

trudność stanowi to, że na Litwie uprawia się zupełnie odmienną politykę i że uciska się tam Polaków w sposób najostrzejszy na rzecz Litwinów, Białorusinów i Żydów. Ponieważ postulatem głównym przeważającej większości mieszkańców obu krajów jest ponowne złączenie Polski i Litwy, niezadowolenie Polaków litewskich wpływa także w General-Gubernatorstwie Warszawskiem. Nie traćmy nadziei na najpomyślniejszy obrót”.

Czapski nie zapomniał o Litwie i nadal, bo pisał do Berlina tak: „Jeśli nie odsłaniamy kart w sprawie litewskiej i nie zaczniemy uprawiać tam rozsądnej polityki oraz nie zaprowadzimy sprawiedliwej administracji, uczynimy sobie wroga z całego narodu polskiego. Polska bez Wilna nie jest zdolna do życia. Nie widzę również niebezpieczeństwa w tem, gdybyśmy w tej sprawie ustąpili powszechnym życzeniom polskim, gdyż nowa Rosja napewno nie będzie chciała zatrzymać tego kraju dla siebie”.

Gdy nastął okres Rady Regencyjnej i żądano od niej stwierdzenia konieczności związku z państwami centralnemi, wówczas „jako ekwiwalent wysuwał Lerchenfeld perspektywę rozszerzenia granic ku wschodowi”. Prowadzono wtedy silną „agitację o przyłączenie Litwy”. Jednak rozwój wypadków na Litwie przyjął wtedy obrót ostatecznie antypolski, mimo że

## Głos endeka o Litwie.

Bardzo trudno znaleźć coś nowego, a naprawdę godnego poznania w polskich publikacjach o Litwie i sprawie litewskiej. Jeśliby nie było w przeszłości „Litwy” Michała Römera, wolno byłoby bez przesady powiedzieć, że polskie piśmiennictwo polityczne nie zawiera na ten temat żadnej pozycji poważniejszej.

Po normalizacji stosunków z Litwą (przedwiośnie r. b.) wyszła w Wilnie nakładem autora 30-stronicowa, a zaopatrzona mapką broszura Jędrzeja Giertycha p. t. „Sprawa litewska”. Co nowego dał w niej autor? Naogół mało, a i to są rzeczy wagi mniejszej.

Giertych twierdzi, że ogromna część najdawniejszych druków litewskich była dziełem „rodowitych Niemców”, a „inicjatywa akcji wydawniczej litewskiej należała w dużej mierze do rządu pruskiego”. Ciekawsze, że zamilowanie do rzeczy litewskich za czasów i pod auspicjami b. uniwersytetu wileńskiego obudziły się właśnie „za pruskim przykładem” (podkreślenie nasze). Wyznanie to cenne, ale i nie mało upokorzące pod piórem nacjonalisty polskiego. Wypływa stąd, że tą, a nie inną drogą historia litewska i folklor litewski stały się też natchnieniem Ad. Mickiewicza. Komu się ten wniosek nie spodoba, niech ma pretensje do J. Giertycha.

Czas zresztą już wielki, by Litwini zaniechali całkiem wszelkich prób jakiegoś rewindykowania sympatij Mickiewicza dla politycznego odrodzenia ich narodowości. Nie inwokacja mickiewiczowska z „Pana Tadeusza”: „Litwo, Ojczyzna moja...” jest charakterystycznym wypowiedzeniem dla Adama, lecz jedynie miarodajnym jest i być dla nas winno to, co powiedział w swoich „Księgach Pielgrzymstwa”, a mianowicie: „Litwin i Mazur — bracia są; czyż kłóć się bracia o to, iż jednemu na imię Władysław, drugiemu Witold? *Nazwisko ich jedno jest, nazwisko Polaków*” (podkreślenie nasze). Od czasów Mickiewicza dużo paniczyków z drobnej szlachty litewskiej i ziemianstwa myślało tak i myśli, mówiło i mówi.

„Polacy, dążący do połączenia z Litwą mówili o zasadach całkowitego wzajemnego równouprawnienia”. Zwłaszcza dla aktywistów rozszerzenie granic na wschód i zjednoczenie się na nowo z ziemiami wschodnimi dawnej Rzeczypospolitej Polskiej stanowiło cel, sam przez się zrozumiały... Ta podwójna polityka Rzeszy Niemieckiej wprowadziła zamęt do umysłów... i na Litwie.

„Nastrój na obszarze „Ober-Ost'u” był na początku jego okupacji przez nasze wojska wyraźnie proniemiecki. Teraz doszło do tego, że wielu dobrych Polaków powiada, iż jednak rządy rosyjskie są lepsze, gdyż można było przynajmniej ratować się za pomocą przekupstwa. Zwłaszcza w Wilnie rozgoryczenie jest powszechne”.

Tak pisał Czapski do Beselera, który „był również przeciwnikiem przyłączenia Litwy, wyłączając Białystok. Motywował to wielkorządca wojenny tak: „Ostrożnie osłaniają się Polacy milczeniem w sprawie związku (*Anschluss*) z mocarstwami centralnymi, czynią jednak widoki, że skoro tylko Litwę przyłączonoby (*angegliedert*) do ich państwa, cała Polska wypisałaby na swym sztandarze związek (*Anschluss*) z Niemcami. O tem naturalnie niema co i myśleć. Po Litwie zaczęłoby tę samą grę z Kurlandją, Poznańskiem i jak tam się zwą wszystkie cele utopiine

Jeśli wierzyć Giertychowi, to ruch litewski od samych powijaków, więcej wprost jest emanacją wpływów masonerii, która była w równej mierze inspiratorką tak jego prądu katolickiego, jak i „pastorskiego”. Słowem „istotny kościółce ideowy i organizacyjny ruchu litewskiego był niewątpliwie—masoński”.—

Zasłużone w rozwoju ruchu litewskiego pismo „Varpas” miało być pierwotnie wzorowane na wydawanym w Warszawie przez twórcę polskiego nacjonalizmu J. Ł. Popławskiego „Głosie”, silnie nasiąknięte wpływami nacjonalizmu polskiego, nawet antysemickie i t. d. Tegoż zapewne zdania był ś. p. red. Józef Hłasko, który w „Kurierze Litewskim” pisał swego czasu, że do zlikwidowania sporu polsko-litewskiego predestynowani są nie żadni demokraci, krajowcy, ludowcy, socjaliści..., lecz właśnie endecy, endecy polscy i endecy litewscy...

Giertych niedawno odbył podróż do Hiszpanji narodowej, chętnie więc przeprowadza analogje. Otóż „istnieje uderzające podobieństwo między dziejami ruchu baskijskiego—notorycznie stworzonego i prowadzonego przez masonerję—a ruchu litewskiego. (Ruch kataloński przypomina raczej ruch „ukraiński”).

Według programu Dmowskiego, „obszar etnograficzny litewski otrzymałby w ramach Polski autonomję”, t. j. tyleż akurat, co i Rosja w końcu gotowa była przyznać Litwie... Również „owocem akcji dyplomatycznej Dmowskiego jest oderwanie Kłajpedy od Niemiec przez traktat wersalski”, a więc pośrednio Litwa zawdzięcza jemu Kłajpedę...

W pracy zbiorowej „Generał Rozwadowski” są, jak się okazuje, ciekawe wiadomości o kampanji r. 1920. Otóż „generał Rozwadowski proponował, aby wyzyskać korzystną sytuację, którą stworzył generał Rydz Śmigły pod Grodnem i Augustowem, związać energicznymi atakami nad Niemnem środkowym siły bolszewickie..., a potem maszerować przez Słonim, Lidę i Wilno, wrzucić wszystkie... wojujące (?) z nami litewskie wojska przez Kowno, Szawle w błota Windaury, a nawet w morze Bałtyckie,—to byłby koniec zna

Wszechpolaków”.

Jednak we wrześniu (1917) administracja „Ober-Ost'u” urządziła w Wilnie, jako w byłej stolicy Litwy, litewski zjazd krajowy i mianowała wybraną tam w porozumieniu z władzami niemieckimi litewską Radę Krajową—*Tarybę*—z kompetencjami doradczymi. Ta ostatnia proklamowała następnie w dn. 11 grudnia niepodległe państwo litewskie z Wilnem jako stolicą, zwróciła się do cesarza niemieckiego z prośbą o pomoc i opiekę, oraz wypowiedziała się za wiecznym i trwałym przymierzem z Rzeszą w formie konwencji wojaskowej i komunikacyjnej, jak również wspólności celnej i monetarnej.

„Po tem wszystkim, co w niniejszych „Pamiętnikach” powiedziałem o znaczeniu byłych ziem litewskich dla Polski, zbyteczne jest opisywać fatalne wrażenie, jakie powyższe wypadki wywołały na nastroje polskie”. „Wydarzenia wrześniowe na Litwie dowiodły, że Ludendorffowi i Erzbergerowi udało się pozyskać kierownictwo Rzeszy dla tych planów” (t. j. *Randstaatenpolitik*).

Jednak Czapski okazał się kiepskim prorokiem, pisze bowiem: „Litwę ...znam dokładnie od mego dzieciństwa i jestem przekonany, iż żywioł litewski nie będzie mógł utrzymać się na dalszą metę”..

*ładźwiug.*

*mienity* (podkreślenie nasze). Naczelnny wódz uznał ten plan za dobry, zaznaczył jednak, że przez zalanie Litwy wojskami polskimi, wywołałby wieczną nienawiść Litwy do Polski, do której nie chciał doprowadzić... Generał, nie mogąc przekonać Naczelnego Wodza, podał się wówczas do dymisji, która nie została przyjęta...". Wymowne.

Z dalszych wynurzeń Giertycha notujemy jeszcze kilka. „Naród ten (litewski) mimo, że wyrósł w walce z nami i wyrządził nam wiele krzywd,—jest nam sympatyczny. Jest on nam pokrewny kulturalnie... *Zniszczenie narodu litewskiego jest już dzisiaj niemożliwe*. Poddanie zaś go naszemu panowaniu byłoby dla nas raczej ciężarem niż korzyścią. Nasz organizm państwowy nie zniósłby obciążenia jego życia brzemieniem nowego zagadnienia „mniejszościowego” w postaci dwóch milionów Litwinów... Program inkorporacyjny w odniesieniu do etnograficznej Litwy został w polityce polskiej przekreślony. *Nie dlatego, żeby był w założeniu niestuszny, ale dlatego, że stał się nieaktualny*”... (podkreślenie nasze). Omawiając wypadki marcowe między Polską a Litwą, Giertych mówi o ultimatum polskiem tak, jakby było tylko jedno, gdy tymczasem dziś już powszechnie wiadomo, że były Nr. 1 i Nr. 2.

Giertych należy do tych polskich polityków, co już wyzbyli się całkiem poprawnego płaszcza mesjanizmu polskiego, w którym paradować lubili do wojny światowej. Dziś reprezentuje on w polityce raczej narastający rodzaj polskiego makjavelizmu.

Rimtas.

## Nieznany szczegół.

Niedawno zmarł jeden z najpopularniejszych przedstawicieli starego przedwojennego Wilna—dr. Juljusz Sumorok.

Za trumną postępowała już tylko mała garstka pozostałych przy życiu osób, które za czasów rosyjskich pracowały ze zmarłym dla lepszej przyszłości kraju i jego stolicy. W tłumie widzieliśmy przeważnie ludzi nowych, którzy oddawali hołd zwłokom zmarłego za jego działalność *powojenną*.

O tym najnowszym okresie życia dr. Sumoroka nie będziemy wspominać, gdyż budził on stale z naszej strony wiele zastrzeżeń. Natomiast działalność jego przedwojenna jest dla Wilna dzisiejszego niemal zupełnie nieznaną. O niej to pragniemy przypomnieć.

Wśród tej części różnorodnego społeczeństwa wileńskiego, którą łączyły zarówno dążenia wyzwolenicze, jak idee szczerze demokratyczne, w ostatnich latach przed wojną światową zaznaczyła się współpraca już to na gruncie tworzenia wspólnych placówek społecznych, mających na celu popieranie kooperacji, rozwój przemysłu ludowego i sztuki ludowej i t. p.,—już to na gruncie szerzenia ideologii krajowej i demokratycznej.

Na pewnych jej odcinkach szczególnie zacieśniała się współpraca polsko-białoruska. I w tej właśnie dziedzinie (dla większości dzisiejszych wilnian będzie to rewelacja!) zapisał imię swoje zmarły dr. Juljusz Sumorok.

W jesieni r. 1912 przy historycznym stoliku u Zielonego Sztralla, gdzie codziennie zbierali się na pogawędkę działacze demokratyczni wszystkich narodowości krajowych, powstała myśl stworzenia dziennika polskiego, któryby szerzył hasła demokracji i kra-

jowości. Na tem tle porozumieli się Polacy i Białorusini. Ze strony polskiej czynny udział w realizacji tej myśli wzięli dr. Juljusz Sumorok, Józef Bukowski, popularny malarz Kamil Mackiewicz (Camillus); ze strony białoruskiej—Jan i Antoni Łuckiewiczowie. Zawiązano komitet, który zapoczątkował werbowanie zwolenników projektowanego pisma, gotowych nieść mu pomoc materialną. Wkrótce zebrano pewną sumę pieniędzy, wystarczającą na rozpoczęcie wydawnictwa dziennika, któremu dano nazwę „*Kurjer Krajowy*”. Na skarbnika grupy wydawnicza powołała dr. Juljusza Sumoroka, który przez pewien okres podpisywał pismo *jako redaktor i wydawca*. Redaktorem naczelnym pisma został Józef Mańkowski, mając do pomocy szeregi współpracowników, najzupełniej bezinteresownych, w Wilnie i na prowincji. Artykuły polityczne pisywał przeważnie A. Łuckiewicz. Kronikę dostarczał Fr. Olechnowicz. Camillus podjął się dawania świetnie robionych przez niego karykatur działaczy wileńskich, które się ogromnie przyczyniały do podniesienia poczytności pisma.

Dr. Sumorok zarezerwował dla siebie dziedzinę specjalną: sprawy miejskie. Jako radny miejski, przyglądał się sprawom tym z bliska i ciętem piórem poruszał najistotniejsze bolączki miejskie, wyciągając na światło dzienne to wszystko, na co powinna była reagować opinia publiczna. Miał z tego powodu nie mało przykrości i wreszcie musiał usunąć swój podpis pod dziennikiem, pragnąc uchronić się od napaści ze strony tych, co woleli pewne rzeczy chować w ukryciu...

Pismo odrazu zdobyło szeroką popularność. Pomimo to prenumeraty na pokrywanie kosztów wydawnictwa—nie wystarczało. Musiano wciąż uciekać się do ofiarności członków grupy wydawniczej, a w pierwszym rządzie najbliższej do wydawnictwa stojącego dr. Sumoroka. W chwilach najbardziej krytycznych ratowały sytuację weksle, wystawiane przez dr. Sumoroka i zawsze bez kwestji dyskontowane w bankach wileńskich.

Dla charakterystyki „Kurjera Krajowego” oraz oblicza ideowego jego wydawców przytoczymy credo dziennika, zamieszczone w pierwszym numerze z dn. 8 (21) listopada 1912 r. p. t. „Do Czytelników”:

„Przeżywamy chwile, które mogą przełom głębokimi w życiu kraju naszego wywołać.

Chmury, gorsze od wojennych, gromadzą się na naszym horyzoncie: w kraju, gdzie tyle narodów obok mieszka, walki i waśnie mnożą się z dniem każdym.

Do miast i miasteczek, do dworów i chat wiejskich wkracza najgorszy wróg ludów—nacjonalizm. Niesie ze sobą nienawiść wzajemną i walkę wewnętrzną w masie ludowej roznieca, grożąc rozkładem i utratę odporności kraju wobec zakusów ludzi, co na ziemi tej wszelkie poczucie odrębności wypłenić pragną.

Kto nieci waśń? Kto różni lud miejscowy, mówiący wieloma językami, lecz wspólną dolą związany?

Nie leży w tem wina ludu, lecz tych, co ciemnotę jego dla celów własnych wyzyskać pragną. Ci są roboty swojej świadomi: wzywając lud do walki bratobójczej, siły twórcze jego na marne kierują, by samym dłużej w ten lub inny sposób panować.

Wspólna dola, wspólne potrzeby i zadania łączą demokrację poszczególnych narodów. Wyzwolenie z nędzy odwiecznej—materialnej i duchowej, co jarzmo ciężkie na barki ludu wkłada,—oto zadanie demokracji. Praca dla ludu przez lud, praca twórcza a zgodna—to droga ku wyzwoleniu.



W kraju, gdzie obok Litwina Polak mieszka, obok Białorusina—Żyd, w kraju, upośledzonym przez los i możności wolnego rozwoju pozbawionym, niema miejsca na walkę wewnętrzną. Kto żyw, niechaj staje do pracy.

Do pracy dla Kraju naszego, co Litwę i Ruś Białą obejmuje, do pracy dla mas ludowych, których życie twarde w znoju upływa, wzywać będziemy w tem piśmie naszym wszystkich, kto obywatelem kraju być pragnie.

Nie wzniecać, a łagodzić waśni narodowe chcemy. Prowadzi do tego poznawanie się wzajemne synów wspólnej matki—ziemi naszej, zrozumienie wszystkich potrzeb braci, inną mową mówiących. Przyczynić się do uskutecznienia najistotniejszego współżycia zgodnego—oto drugie nasze zadanie.

Nie głosimy dzisiaj programu szerokiego: w krótkich słowach skreślić go niepodobna. Wskazujemy zasady, przez większość prasy naszej zapoznane. Tych trzymać się będziemy, a od udziału społeczeństwa w pracy naszej zależy, czy w życie wprowadzone zostaną”.

Zasad powyżej podanych trzymał się „Kurjer Krajowy” przez cały czas swego istnienia, które zakończyło się w przededniu wojny światowej. W składzie redakcji zachodziły pewne zmiany. Po Mańkowskim—w r. 1914—kierownictwo piśmie objął Jerzy Jankowski (Jerzy Szum), którego pracę przerwała ciężka nieuleczalna choroba. Lecz kierunek nie zmienił się: demokratyzm, poszanowanie wszystkich narodowości i ich dążeń do odrodzenia kultury narodowej, uznanie ziem b. Wielkiego Księstwa Litewskiego za swoją ojczyznę—zasady te w ciągu paru lat istnienia dziennika były stale konsekwentnie przeprowadzane i uzasadniane w artykułach, wychodzących zarówno z pod piór polskich, jak i białoruskich.

Na temże stanowisku wiernie trwał i jeden z najbardziej czynnych założycieli i kierowników pisma—dr. Juljusz Sumorok, przyczyniając się zarówno piórem, jak kiesą do rozwoju i zachowania „swojego pisma”.

Af.

## Dżungla.

Nasze hasło „Za naszą i waszą wolność”, wpływające z przykazania Bożego o miłości bliźniego, realizowało się w powojennej zasadzie prawa narodów do samookreślenia się, prawa również opartego na tem samym przykazaniu. Zdawało się, że ta najhumanitarniejsza zasada, ten kwiat cywilizacji stanie się symbolem XX wieku. Tymczasem stało się inaczej. Powojenne państwa, które umiejętnie wykorzystały tę zasadę, kazały ją swoim historykom i literatom złożyć do narodowych muzeów jako piękną teorję a niektóre z nich wyrzuciły ją do lamusów/starych rupiec i w swojej codziennej praktyce chwyciły się (wstyd się przyznać) krótkowzrocznej zasady kannibalskiej, ludożerczej. Gdyby dzicy kannibalowie mogli przeczuć, że ludożerstwo przynosi im hańbę, zostanie przyczyną zagłady wolności i samodzielności, a nawet zupełnego upadku ich potomków, byliby zawczasu zarzucili ten sposób zwiększania swoich sił przez odżywianie się cudzem mięsem. Stało się... Trudno... Dżungla ma swoje prawa.

Czem jednak wytłumaczyć, że tam, gdzie materialne, rzeczywiste dżungle znikły, jednak prawa dżungli aż do dziś panują i ludożerstwo w całej pełni kwitnie? Ach, przepraszam, brytyjski lew zaprzestał

kannibalizmu w Irlandji. W innych państwach jest inaczej. W niedawnej przeszłości mężowie stanu różnych narodów oraz ich państwa solennie przyrzekały swoim mniejszościom narodowym różne autonomje, a gdy przeminęły konieczności, które spowodowały takie przyrzeczenia, obietniczki zostały „cacankami”, to ludzkie mięso ma sobie właściwy smak i ludożerstwo kwitnie. Skutek ten, że dziś nikt nikomu nie wierzy, wszyscy wszystkich podejrzewają o przewrotność i wiarołomstwo.

Żołądki dzisiejszego pokolenia są bardzo kapryśne: nie wszystko chcą i mogą przetrwać. Co dawniejsi ludożercy dobrze trawili, obecnym to staje ością w gardle lub kamieniem w żołądku. I na to niema lekarstwa, bo dżungla zna tylko czarodziejów i znachorów, a lekarzy—nie. A szkoda, bo i kannibalów możnaby ucywilizować, gdyby i dla nich historia mogła się stać „*magistra vitae*”. Niestety oni nie mogą niczego zapamiętać i niczego się nauczyć.

Przed innymi przejawami dżungli ostrzega krakowski kurjerek w swym artykule p.t. „Bronimy się przed powrotem dżungli. Nawet wojna wymaga poszanowania prawa”. Treść jego jest taka. Naogół ludzkość coraz mniej przejmuje się aktami wojennego bezprawia i sądzi, że podczas wojny każdy sposób jest dozwolony. Tymczasem takie przekonanie jest zupełną nowością w historii cywilizowanej ludzkości. To tylko dzikie plemiona używały zawsze zatrutych strzał i zatrutych lanc. Cywilizowane narody wyrzekały się niehumanitarnych sposobów. Grecy i Rzymianie znali prawo wojny i trzymali się tegoż. Średniowiecze wypracowało cały kodeks wojennych praw. Zaden rycerz nie napadał na drugiego z tyłu, nie walczył z bezbronnym, nie krzywdził kobiet i dzieci, nie dobijał tych, co prosili ocalenia. Umowy zabraniały prowadzenia wojny bez wypowiedzenia, nakazywały leczyć rannych jeńców, i t.d. Tymczasem widzimy obecnie pogwałcenie systematyczne tych wszystkich postanowień. To całkowicie osłabiło poczucie prawa; ono ginie. Niema już żadnej pewności, czy we wnętrzu Europy nie wybuchnie wojna bez wypowiedzenia, czy jeńcom dadzą utrzymanie, czy oni nie staną się przedmiotem szantażu, czy na okupowanych terytorjach nie będą zmuszali ludność do walki z własnym państwem i t. p. Istotą cywilizacji jest chrystjanizm, a częściowo umowa (konwencja), na jakich opiera się etyka, prawo, zwyczaj, mowa, sztuka i nauka. Kto odrzuca chrześcijaństwo i konwencję, ten odrzuca cywilizację.

Ten artykuł jest zupełnie słuszny i dowodzi, że prawo dżungli, a raczej bezprawie stara się zataczać coraz szersze koła i swemi mackami objąć coraz więcej ludzkości, by ją przeznaczyć na żer kannibalizmowi, którego adepci w logicznym następstwie muszą się stać żerem zdemoralizowanych parjasów i helotów. *Caveant consules!*

Adolf Kunica

## Dwie publikacje rosyjskie.

W r. b. przypada 950-letnia rocznica chrztu Rusi, którą obchodzą jedynomyślnie Białorusini, Ukraińcy i Rosjanie. Zapowiedziane jest ukazanie się na ten temat broszury białoruskiej ks. Ad. Stankiewicza. Wyprzedziła ją świeżo wydana rosyjska broszura najwybitniejszego dziś w Wilnie i na Białorusi prawosławnego teologa W. W. Bohdanowicza (rodowitego zre-

szta Białorusina) p. t. *Cerkowno-Słowiański jazyk kak religiozno-kulturnaja cennost'* (Grodno 1938). Rzeczą ma upamiętnić 950-lecie chrztu Rusi (988—1938), rocznicę w dziejach plemion ruskich tak doniosłą, że nie odważyli się zaprzeczyć tego nawet bolszewicy, acz oczywiście zabarwiają ocenę faktu po swojemu.

Sympatycznie usposabia czytelnika już sam wstęp, gdzie autor podkreśla, a to rzadko czynią prawosławni, że uznani też przez Kościół rz.-kat., a umiłowani przez ludy słowiańskie, święci Cyryl i Metody, są obok św. Mikołaja Cudotwórcy, ogniwem mocno łączącym bratnie narody słowiańskie, mimo różnic wiary i odrębności języka. Bohdanowicz traktuje drażliwy w sobie ten temat umiejętnie, spokojnie, naukowo a rzeczowo. Należało tylko zaznaczyć dobitniej, że pierwotne uprzedzenia Rzymu względem tych przybyłych z Grecji na Zachód misjonarzy płynęły nie tyle z faktu ich ukazania się na Morawach i gdzieindziej, ile z wielu a ciężkich skarg, jakie niemiecki kler katolicki nieustannie słał do Rzymu na celebrujących msze św. w obrządku wschodnim, a nauczających w języku obcym kapłanów. Stara to historia. W wiekach późniejszych kler niemiecki będzie słał takie skargi do Rzymu na kler czeski, kler węgierski na słowacki, chorwacki i słoweński, znowu kler polski na litewski, białoruski i ukraiński... Proces ten zresztą odbywa się i dziś na naszych oczach.

Wiele ciekawych a głębokich uwag zawiera rozdział II broszury Bohdanowicza, gdzie jest mowa o stosunku Słowiańszczyzny cerkiewnej do innych żywych języków słowiańskich. Tu autor cytuje emfaticzną pochwałę języka rosyjskiego, wypowiedzianą w „Słowie” przez nieboszczyka Czesława Jankowskiego. Specjalnie Białorusinów i Ukraińców zainteresować winno to, co Bohdanowicz mówi o zbytnich zapędach niektórych z nich, którzy gotowiby nawet całą liturgję przełożyć na bieżącą mowę białoruską lub ukraińską. Byłby to eksperyment nie tylko niebezpieczny, lecz wprost szkodliwy. Inna rzecz, gdy Cerkiew prawosławna sporządza sama przekłady liturgji na języki tych narodów, którym dziś lub dopiero w ostatnich stuleciach zaczyna głosić ewangelję.

Rozdział III jest może najbardziej rewelacyjny dla nas. Tytuł jego mógłby brzmieć raczej: Co zawdzięcza prawosławie współczesne pracom i wpływom prawosławnych Ukraińców i Białorusinów? Otóż wpływom tych narodowości prawosławie zawdzięcza: wymowy liturgiczne, melodie liturgiczne, poprawienie tekstu ksiąg liturgicznych (reforma patriarchy Nikona), nowe metody kaznodziejskie, nawet owe kontuzy, w jakich *piewczyje* ubrani byli ongi przed wojną światową, a dalej znowu odnowienie i odmłodzenie Synodu i t. d. Wpływy te były najsilniejsze od Piotra I do Katarzyny II, którzy nie lubili kleru moskiewskiego, a faworyzowali jawnie ukraiński i białoruski.

Upokorzony i odsunięty na stronę kler moskiewski reagował na to po swojemu. Wytykał i przezywał nowych panów sytuacji, jako *łacinników i obliwańców* (od formy chrztu św.), gorzko narzekał na *zachłanność czerkasów* (tak nazywano wtedy Ukraińców) i t. d. Wszystko jednak bez skutku.

Ciekawa książeczka podaje na końcu wiersz utalentowanej poetki rosyjskiej Tamary Sokołowej i dwa hymny—ku czci apostołów słowiańskich, św. św. Cyryla i Metodego, informacyjny katalog o cerkwi Kołoskiej w Grodnie z podobizną tej najstarszej świątyni chrześcijańskiej naszego kraju.

W r. b. na prawosławnym Ześlaniu Ducha św. wileńska cmentarna cerkiew św. Eufrozyny (księżny Połockiej) obchodziła pierwsze stulecie swego istnienia (1838—1938). Inteligentny a ruchliwy proboszcz jej o. Lew Sawicki wydał skrzętnie przezeń opracowaną historję największego prawosławnego cmentarza w Wilnie p. t. *Prawosławnoje kładbiszczje gor.* (oda) *Wilno* (Wilno 1938). Cmentarz miejscowy jest dużo starszy od cerkwi, bo został otwarty w r. 1796. Ku pochwałę naszych współobywateli prawosławnych, trzeba powiedzieć, że zawsze dbali o swoje mogiłki, co jest cechą odwiecznej kultury. Wszak już w r. 1890 archimandryta Józef (naprzód rektor seminarjum duchownego, potem archierej) wydał 400-stronicową, opracowaną z benedyktyńską dokładnością, monografię p. t. *Wilenskiy Prawosławnyj Nekropol*. Tymczasem polskie społeczeństwo wileńskie, mając na cmentarzach katolickich bodaj więcej tytułów do chwały niż wśród żywych, nie zdobyło się dotychczas nawet na taką broszurę, jak omawiana tu o. Sawickiego! Mało tego, zainicjowana przez p. Waclawa Wejtkę praca nad inwentaryzacją cmentarzy wileńskich, wskutek wyjazdu jego, utknęła i nie słyhać, by ją kto chciał podjąć i dokończyć.

Prawosławny cmentarz w Wilnie jest—wcale obszerny, bogato zadrzewiony, pagórkowaty a malowniczy. W okresie okupacji podczas wojny światowej uchodził już za rzecz niczyją i był straszliwie zdevastowany tak przez biedotę okoliczną, jak przez męty podmiejskie. Najstarszy ocalały tu pomnik pochodzi z r. 1814.

Wynotujemy szereg nazwisk, jakie są tu na grobach. Oto Łopaciński, Sławiński, Frąckiewicz, Nowicki, Brzeski, Balicki, Zajączkowski, Parczewski, Laskowski, Kolankowski, Winiarski, Poniatowski, Bartoszewicz, Lipnicki, Zagórski, Januszewski, Mańkowski, Moczulski, Januszewicz, Adamowicz, Krukowski, Rutkowski, Strugowski, Borowski, Jarocki, Sokołowski, Jankowski, Lutkiewicz, Szydłowski, Lutomski, Korulski, Zgorzelski, Wróblewski, Brzeziński, Telwiński, Zaleski i in. Ktoby czytając te wybitnie polskie nazwiska zgadł skąd są wypisane?

Są też nazwiska o niewątpliwie litewskim pochodzeniu, jak Żemajdo, Okulicz, Tamulewicz, Szawel, Boładź, Skruna, Babel, Kodź, Raubic, Szmaro, Szemetyłło, Szakun, Jarmantowicz, Smilgin, Łapuć, Dorejko, Sielun, Naruszewicz, i in.

A ile białoruskich! Huszcza, Snitko, Tur, Chariewicz, Hołowacki, Howorski, Homolicki, Pszczołko, Horaczko, Wernikowski, Kuczuk, Iljaszewicz, Szyszko, Sciepuro, Sawaszkievicz, Woronko, Sipko, Jakoniuk, Horelczonok, Borodzicz, Jatko, Chwalko, Suchodoł, Botian, Holak, Karpacz, Worobiej, Siwko, Aleksiejuk, Siewruk, Romaszko, Sielawko, Tatun, Ładygo i in.

Wszystkie powyższe zebrane w trzech grupach nazwiska, bez różnicy polskie, litewskie czy białoruskie, świadczą, że wyznawcy prawosławia u nas nie byli importowani wszyscy z nad Wołgi i z pod Uralu, jak twierdzą polscy łośwajscy, lecz są w dużej części rdzennymi mieszkańcami b. W. Ks. Litewskiego.

Mówiąc o cmentarzu prawosławnym w Wilnie, należy dodać, że kryje on obok grobów t. zw. *familji Homolickich* (grabarz Unji) i różnych rusyfikatorów, zwłoki też całego szeregu literatów, publicystów, artystów, archeologów...

A. Sołoduch.

## Bibliografia.

**Ruszczyc Ferdynand.** *Liść wawrzynu i płatek róży.* 1937.

Mamy tu przed sobą najładniejszą książkę z wydanych w Wilnie w r. 1937. Wierny druh mistrza Ferdynanda Jan Bułhak z przemówień, wykładów, odczytów i artykułów zmarłego artysty plastyka stworzył niebawem po jego zgonie piękną a zwartą całość, wystawiając mu pełen dostojenstwa („liść wawrzynu”) i wdzięku („płatek róży”) pomnik.

Ferdynand Ruszczyc—to nie tylko pewna postawa wobec rzeczywistości wileńskiej, lecz i wyraźna róża. Nietylko wolny artysta, lecz i wieczny celebrans. Nietylko Polak i narodowiec lecz też urodzony imperjalista i kresowiec. Ucho nasze wymaga pewnego czasu, by mogło się oswoić z tonem, którym mówi o Wilnie, pięknie jego położenia, lub dobrze zharmonizowanej z krajobrazem jego sztuce... Skoro jednak wczytamy się w przeszło czterdzieści przemów Ruszczycy, którymi wymownie słał piękno Wilna (po polsku i francusku, wobec swoich i wobec obcych), szczerą miłość artysty ku Wilnu nakaże nam wyrozumieć jego postawę, pozę, i te ustawiczne celebracje. Zresztą trudno się temu dziwić, Wilno dla Ruszczycy było naprawdę wielką świątynią pamiętek, czcigodnym ołtarzem, amboną i z ich wyżyn nawoływał on nieustannie do oddawania czci należnej pięknu Wilna, tak żyjącym w tradycji, jak też w skromnej szacie jego bytu dzisiejszego.

Zadna książka o Wilnie nie zawicra tyle skondensowanego, głębokiego a mocnego umiłowania naszego grodu, co właśnie ta Ruszczycowska. Ukochał Wilno Ruszczyc na życie i śmierć. Poślubił je i wierności dochował najświęciej. *Fortis ut mors dilectio.*

W omawianej książce Bułhaka o Ruszczycu Wilno zyskało wyborną antologję najpiękniejszych nie tyle może opisów, ile właśnie podkreśleń uroku, jakie kryją w sobie przyroda i sztuka wileńska pospołu. Słyszałem też, że książka omawiana zabłądziła już do szkół wileńskich, gdzie zaczynają wybrane z niej fragmenty wygłaszać na wieczorkach i akademjach szkolnych. Nie wiem, czy mógł większy zaszczyt spotkać zmarłego artystę i żyjącego wydawcę jego spuścizny.

Powstrzymuję się od wszystkich uwag sprawozdawczych i recenzenckich, bo któżby tam chciał polemizować, chociażby najbardziej kurtuazyjnie, z sakralnym *liściem wawrzynu* lub wonnym *płatkiem róży*?

Gardiner.

**Popowska Marja.** *„Rys dziejów kartuzji bereskiej w latach 1648—1831”.* Wilno. 1938.

Każdemu takiemu określeniu, jak benedyktyn, franciszkanin, bernardyn, dominikanin, jezuita, karmelita, kapucyn, trynitarz, pijar, nawet kameduła lub trapista, odpowiada w umyśle przeciętnego inteligenta pewne, mniejsze lub większe swą treścią, prawdziwe lub fałszywe, pojęcie. Nie można jednak tego powiedzieć o kartuzach, bo o nich zawsze tyle się wiedziało, co nic. Nie wiem, czy drogą asocjacji przypomniałyby się laikowi nawet likier *Chartreux*. Mało więcej umiały też o nich powiedzieć spytany ksiądz lub zakonnik. Stanowi więc stary zakon kartuzów w monasterologii katolickiej swego rodzaju egzotykę, pozycję osobną, a nader mało znaną. Powiedzieć to

można tak o nas, jak i zagranicą, gdzie pod tym względem nie było ani jest lepiej.

Szczęśliwą dlatego myśl powzięła pracowniczka biblioteki uniwersyteckiej w Wilnie, p. Marja Popowska, obierając za temat swej konkursowej rozprawy dzieje kartuzji bereskiej, czyli klasztoru kartuzów w Beresie, należącej przez długie wieki do diecezji wileńskiej, zanim nowe rozgraniczenie biskupstw oraz powstanie nowych nie oddało ją diecezji pińskiej. Praca, nosząca skromną nazwę „Rys dziejów kartuzji bereskiej w latach 1648—1831”, a będąca właściwie rzetelną próbą monografii, drukowała się w ostatnim tomie „Ateneum Wileńskiego” i wyszła też jako oddbitka jeszcze latem.

To, cośmy powiedzieli wyżej we wstępie o rodzaju tematu, przesądza już jego trudność, odrębność, niesamowitość. Stan badań poprzednich był równy zeru, materiały źródłowe—tylko najogólniejsze, rozproszkowane. Trzeba było mozolnie, z cierpliwością anielską, pozbierać ten „mak”, pomieszany z szarym popiołem dziejowym ziem b. województwa brzesko-litewskiego.

Kartuzów założył św. Bruno w w. XII. Jest to zakon pustelniczy, a więc o regule dość ostrej. Należy do rodziny benedyktyńskiej (*familia benedictina*): Nasza kartuzja bereska była fundacją sapieżyńską. Znamienne, że najostrzejsze reguły były najlepiej przestrzegane. Pap. Innocenty XI wyraził się o Kartuzach: *Cartusia nunquam reformata quia nunquam deformata...* Oczywiście uwagi powyższe dotyczą tylko *wieku złotego* zakonów, nie okresu ich dekadencji, gdy smutna rzeczywistość głośno niekiedy wołała o naprawę. Sprawdziło to się i na naszej kartuzji. Mimo wszystko był to zakon nader ciekawy, jako mający dużo wręcz oryginalnych zwyczajów. Nie brakło nawet odrębności liturgicznych (w sprawowaniu mszy św.), ale to dziedzina zbyt specjalna, więc ją tu pomijamy. Ciekawem zato będzie dla każdego, że codzienne *menu* kartuza stanowiły (oprócz przetworów mlecznych, jaj i ryb) „bobry, kurki wodne, a zwłaszcza żółwie”, mniemano bowiem ongi, że żyjące nad wodą te stworzenia mają zimną rybą krew.

Za lepszych czasów kartuzji brzeskiej, mnisi miejscowi trudnili się nietylko przepisywaniem ksiąg, lecz też ich iluminowaniem. Uprawiali także w swych ogrodach różne zioła, m. in. t. zw. kamienne goździki (*Dianthus barbatus*), szczepy winne... Gospodarka jednak majątkowa w dobrach klasztornych usprawniła przysłowiowo znaną niemiecką opinię o gospodarce polskiej. Politycznie kartuzi berescy pozabawieni byli wszelkich ambicij. Powstanie listopadowe położyło kres egzystencji klasztoru kartuskiego w Beresie.

Praca Marji Popowskiej jest udatna, sumienna a ścisła. Autorka dobrze zżyła się z tematem. Wykonała dla historii naszych kartuzów co najtrudniejsze, bo przełożyła drogę przez ciemny gąszcz niektórych dotychczas materiałów rękopiśmiennych i wcale nielicznych drukowanych. Jeśli chodzi o stronę techniczną, to są oczywiście i braki, jak przeładowanie pewnych partyj szczegółami, czasem mniej szczęśliwy wybór określeń (stary a sędziwy zakon—mały a dość pospolity sobie klasztor, oto wyrażenia)... Język mało historyczny, t. j. niedość zwięzły, jedyny, rzeczowy. Są też niebezpieczne wycieczki w nader trudną dziedzinę stanów historycznych, które

jeszcze nie pokrywają się z pojęciem cudowności. „Nie dostrzegliśmy tu w toku nowych badań objawów wyższego stopnia mistycyzmu i niema mowy o stygmatach i widzeniach natchnionych, nie słyszy się o cudach(!) na skutek wysokiego uświętobliwienia któregoś z zakonników, doznawanych przez ogół(?) zgromadzenia, nikt się nie umartwia w sposób osobliwy”.

Usterki drobniejsze, nie nadające się do recenzji, prześlemy wprost autorce, którą zachęcamy do dalszych badań historycznych w miarę tego jak pozwoli zdrowie. Przedewszystkiem oczekujemy zapowiedzianych miscellaneów do rozprawy omówionej.

Wat.

## Ze starych szpargałów.

W Nr. 12 „Ziemi Lidzkiej”, znawca przeszłości pow. lidzkiego p. Michał Szymielewicz zamieścił ciekawy artykuł retrospektywny p. t. „Ze starej książki”, podający szereg występow z wydanej lat temu przeszło trzydzieści broszury ex-księdza diecezji wileńskiej Henryka Bolcewicza, obecnie staruszka zamieszkałego gdzieś w Lidzkiem.

Wzmiankowana broszura nosi tytuł: „Stosunki kościelne na Litwie” (Listy otwarte księdza do księży). Pierwsze wydanie wyszło we Lwowie w roku 1900, drugie w Monachjum w r. 1905, nakładem jakiegoś Jana Zawadzkiego. Smutna to książeczka, bo wyszła w smutnych a najgorszych czasach, niebawem po odsłonięciu w Wilnie pomnika Murawjewowi i zawiera niewątpliwie sporo faktów bolesnych. Inna rzecz czy ma wartość dokumentu historycznego, będąc bardziej głosem gorącego serca, niż sądem głębokiego a wnikliwego obserwatora rzeczywistości owoczesnej.

Skoro przebrzmiała już „sprawę ks. Bolcewicza” wyciągnęła dziś „Ziemia Lidzka”, niech będzie wolno i nam sięgnąć do starych roczników gazet wileńskich, by przypomnieć nieprzeciętne wystąpienie utalentowanego ks. F.(eliksa) M.(ieszkisa), któremu nikt jeszcze nie zarzucał ani zacofania, ani braku patriotyzmu polskiego. Artykuł ten „W sprawie ks. Bolcewicza” był wydrukowany w ówczesnym dzienniku rosyjskim—„Wileńskim Wiestniku” (Nr. 151 z dn. 13(26). I. 1904).

„Arcyprzykry incydent — pisał ks. F. M.—z ks. Bolcewiczem wywołał tak wiele różnych sądów i wrażeń, poruszył w takim stopniu nawet spokojne umysły inteligencji miejskiej i prowincjonalnej, że nie żdziwiłem się wcale, spotykając jego echa w prasie tak miejscowej, jak stołecznej. Wszędzie dały się słyszeć głosy konserwatystów — klerykałów, wzywających jasne pioruny na występnego księdza, pienili się od gniewu liberali i postępowcy, widząc w całym zajściu powtórzenie się mrocznych a okrutnych scen tyranji średniowiecznej, gnębienia indywidualności, braku wszelkiej tolerancji..

„Gdy tak dużo powiedziano już i mówi się jeszcze o tej sprawie, sądzę, że nie zawadzi głos wychodzący z tego środowiska, do którego należy ks. Bolcewicz.

„Jeśli spotykamy wszędzie ach! i niestety!, pianę szału i sentymentalne współczucie, to jestem prze-

konany, że kilka myśli chłodnego obserwatora winny znaleźć miejsce tak w organie, który z jakiegokolwiek punktu widzenia postawił sobie za zadanie służyć prawdzie, jak i u wszystkich interesujących się sprawą. Przypominając też sobie zasadę ks. B.: *Audiat et altera pars*, występuję jeszcze tem śmielej nie w charakterze, oczywiście, pośrednika, obrońcy lub sędziego, lecz wyłącznie tylko obserwatora z ubocza.

„Pod pewnym względem nie mogłem dostatecznie śledzić za biegiem opinii społecznej, zbadać psychologiczną fizjognomję tej wrzawy, jaką wywołał ks. B. i jego sprawa. Jednak oczywiście, że przy obecnym nastroju umysłów, wzniósł się on na wyżyny męczenników myśli, cierpiących za ideę i prawdę. Szarpały go, mówią jedni, jak Prometeusza Shelley'a świadomość stanu bez wyjścia, obniżenie się poziomu moralnego. Przykuty do skały uczuciem własnej bezsily, cisnął on słowa gorzkiej, a zapoznanej prawdy w twarz religji i narodu, do którego sam należy. Zapłonął w nim święty ogień prawdy i rzetelności, żywo się odezwało serce wrażliwe a czułe na wszystko, co święte a wysokie w życ.u. Wskazał on, że podstawowe zasady człowieka i jego bytu, to miłość i ukochanie pokoju—mówią drudzy, trzeci zaś, ludzie bardziej nieczuli, śmieją się pocichu, przypominając szekspirowską tragikomedję: *Much ado about nothing* „Wiele hałasu o nic”.

„Mnie zaś się zdaje, że hałas powstały i naogół wystąpienie ks. B. ma sens bardziej głębszy. To nie jest protest jednostki przeciw jednostce, ale—protest społeczeństwa przeciw wytworzonym wypadkami i warunkami życia porządkom i pojęciom. Ks. B. szorstko i nie w swoim czasie wytłumaczył to, co dla różnych przyczyn nagromadziło się w masie liberalów i niezadowolonych”...

Całego artykułu ks. F. M. przytaczać nie mamy zamiaru, wystarczy powyższy podany ustęp.

## Książki nadesłane do Redakcji.

**Abramowicz Władysław** *Strony Nowogródzkie*. Szkice krajoznawcze z 25 ilustracjami. Lida 1938.

**Unijnij zjazd u Lwowi**. Materiały zebrał i uporządkował o. Wołodimir Kuczabskij. Lwów 1938.

*Statut Instytutu Bałtyckiego*. Nakładem Inst. Bałt. Gdynia 1938.

*Kompletny katalog wydawnictw Instytutu Bałtyckiego*. Gdynia. 1938.

**Górski Karol** *Ustrój państwa i Zakonu Krzyżackiego*. Nakładem Inst. Bałt. Gdynia. 1938.

**Piwarcki Kazimierz**. *Dzieje polityczne Prus Wschodnich. (1621—1772)*. Nakładem Inst. Bałt. Gdynia. 1938.

**Wańkiewicz Melchior**. *Odpowiadam „Cywińskim”*. Nakładem autora. Warszawa. 1938.

**Duchnowski Jan**. *Miasto walczącego ideału*. Szkice kierunków ideowych Wilna w czasach dawniejszych i teraźniejszości. Lida. 1938.

